

DAR KRÓLOWEJ (ba)

Było to dawno temu. Tak dawno, że już nikt nie pamięta, czy zdarzyło się naprawdę. W małym, lichym domku poza wsią żył staruszek a z nim chłopiec niewielki. Staruszkowi było Barnaba a chłopcu Wojtek. Nikt ich tak jednak nie nazywał. Ludzie ze wsi mówili o nich „dziadoki” ale przeważnie nie mówili wcale. Nikt też ich nie odwiedzał, bo w lichej izbie nawet przysiężenie nie było na czym a i poczciwemu człowiekowi spodziewa się darmo. Najważniejszym sprzętem był piec wylepiony starannie przez Barnabę a najpiękniejszym obrazem w tym przed którym dziad i wnuc kładli kawałki chleba poranka i wieczora. Na obrazie Matka Boża z Dzieciątkiem na rękach i aniołowie i litery obce jakieś, wyblakłe. Wojtek codziennie wpatrywał się w twarz Matki na obrazie i tak przyglądał mu serce do niej, że patrzył cieżko szeptając nieraz-mamo. Dziadek karmił go łagodnie ale i on nieraz wzdychał do Matki jak do rodzonej, której nie pamiętał. Im więcej było im więcej tym mocniej obaj wzdychali i jakoś tak się stawało, że najgorsze biedy nie dały im rady. Całowali w podziękowanie Matki na obrazie i dbali bardzo, by była barwna na całym dniu.

Barnaba od wiosny do jesieni chodził do wsi i pomagał w gospodarstwach. Dostawał za to czasem grosz czy dwa a czasem koszyk ziemniaków, woreczek kaszy czy czego tam, co gospodarzom zbyło. Wojtek chodził w drugą stronę-do lasu. Zbierał chrust, znosił pod strzechy, by przewiał go wiatr i osuszyło słonecem. Od wiosny do późnej jesieni wydeptywał coraz to inne ścieżki, by oprócz chrustu zbierał też, czym las darzył: maliny, jagody, grzyby czy choćby ziele jakiegokolwiek, które cieszyło Barnabę. Kiedy już nadto bieda przypiekała szedł Wojtek do miasteczka-do klasztoru na górce, biednego jak oni sami. Przygarniali braciszki sierot i dzielili się z nim czym mogli. Wdzięczne chłopcy w podziękowanie im jak umieli. Właził Wojtek na wysokie drzewa, by zebrać jabłek parę, biegał na posyłki, szorował piaskiem sagany ale najczęściej pomagał przy uprzątnięciu i strojeniu kaplicy. Znosił naręcz polnych kwiatów i ziół i układał tak, że uboga kaplica stawała się niczym cudną łaską. Braciszki w zamian odkładali dla niego kawałek chleba z własnego posiłku, który on niósł dziadkowi jak skarb. I tak się wspomagali dziad i wnuc lato za latem, zima za zimą a któregoś majowego dnia zdarzyło się coś, co odmieniło ich los.

Ranek wstał piękny. Barnaba wybierał się, jak zawsze, do wsi. Z trudem jednak dobiegł się z łaską po ciemnym wczorajszym dniu i zmartwiony swoją niemocą przysiadł na progu. Wojtkowi też było dziadka. Nie był już prosty i silny jak kiedyś. Twarz pobrudził mu wiatr i mróz, siwe oczy wyblakły a proste plecy przygarbiły. Chłopiec postanowił, że teraz on będzie chodził i do wsi i do lasu. Dziadek zażyczył sobie zostać w chacie. Jak postanowił, tak zrobił. Ludzie we wsi zdziwili się widząc rosnącego chłopaka, który dzielnie kopał, kosił, nosił wodę, czy cięł oborę... a wszystko to zgrabnie i porządnie. Chłopcu jednak przykro było słuchać jak nazywają go „dziadkiem” i słuchał mu brzydka. Aby nie troszkę o dziadka rzuciłby wszystko i poszedł w świat. Lepsze były dni, kiedy szedł do lasu. Wstawał o świcie, kładł kawałek chleba za pazuchę i ruszał jedną ścieżką, które sam wydeptał. Pozdrowiał budzące się ptaki, witał się ze znajomymi drzewami i pełen otuchy szedł na polanę na której rosły poziomki od wiosny a póki dżdżuch przymrozek nie zwarzył. Trawa mokra od rosy pachniała piętrem. Bywało, że rozmarzony, pełen zachwytu nad kawałkami traw, nad moc drzew, nad złotem słonecznych promieni wpatrywał się w wysokie niebo pełne słodkiej wdzięku Bogu za to całe piętrem. Gadał z mrówkami i mrówkami, ratował muszki przed zdrażliwym pajęczynem rozpiętym na gałęziach, odpowiadał ptakom treścią najpiękniejszą, jaki tylko potrafił z siebie wydobyć. Czasem spotykał w lesie ludzi ze wsi. Ci do miana „dziadoka” dodawali teraz kolejne „durnowaty”. Oni widzieli w lesie tylko to, co mogli z niego wynieść z pomocą dla siebie. On tak nie umiał i nie chciał. Coraz rzadziej szedł do wsi i coraz częściej do lasu. Do chaty zajrzała rozpaczliwa bieda. Jagody i grzyby czy ziele lada jakie mogło wystarczyć za żywienie na chwilę. Nie wracały się dziadkowi a i Wojtek choć młody przecie wychudł i z sił opadł. Coraz częściej też zamyślał się nad ich losem.

W ów majowy poranek przebiegł już kawałek lasu. Uzbierał chrustu i poziomki dla dziadka, wreszcie zmęczony usiadł w gęszczu jak najdalej od ścieżki. Nie chciał znów usłyszeć tego, co ludzie o nim mówią. Rozmyślał patrząc na pracownicę mrówek i postanowił, że schowa dumę do kieszeni i pójdzie jutro do wsi. Nie może pozwolić, by głodem pomarli. Tymczasem oparł głowę na łokciu i patrzył na wążkę uwijającą się w trawie. Po chwili cicho przerwał donośny brzęk i duży, piękny pszczoła zakotłowała się w kłębku. Złoty kwiat a siadł pod jej ciemnym a pszczoła niemal cała ukryła się w jego złotych piórkach. Wojtek patrzył z podziwem i gadał do siebie... „jaki to zwinny, jakie pracowite. I mrówki i te uczki dookoła i ta piękna pszczoła... a ja?” I tym mocniej postanowił iść jutro do wsi na zarobek. Niech tam gadają co chcą. Pszczoła tymczasem opuściła kwiatek i bucząc jeszcze głowie próbowała odfrunąć. Lecz czy to skrzydełka rosa zmoczyła, czy zbyt dużo skarbów zebrała, do czego, że opadała cięko na trawę ilekro podrywała się do lotu. Jej brzęczenie prawie ucichło. Króciutkie bzz było bardzo smutne i brzmiało jak prośba o pomoc.

-Prosi pomocy, pomyślał Wojtek. Co mam zrobić pszczołko? Zaniósłbym cię do twojego domu, ale gdzie on? Kto to wie?

-Ja, zabzyczało cichutko spod trawy.

Wojtek popatrzył wokół. Nikogo. Przeraził się trochę. - Nie darmo ludzie mówią, że im durnowaty, kiedy głosy słysz. Zdawało mi się, że pszczoła po ludzku gada.

-Gada. Znowu usłyszał jak ktoś czy co powtarza jego słowa.

-Pszczółko, czy ty mówisz do mnie?

-Do ciebie. Usłyszał, chociaż nie mógł pojąć. Teraz jednak już był pewien, że to nie przywidzenie. Złapał się za głowę ze zdziwienia ale wnet przyszło mu na myśl, że pszczołka zaczęła gada ludzkim głosem ze strachu i zmartwienia. Z pragnienia wielkiego, by ktoś jej pomógł. Nie chce przecież zginąć. Pochylił się niziutko i wpatrzył w niebo. Wydało mu się, że na główce owada widzi małe korony. Zamrugał oczami. - To słowo ce tak mami, zamruczał. - Jak ja ci mam pomóc maleństwo? To sam pragnę pomocy.

-Pomóż. A ja pomogę tobie, usłyszał w odpowiedzi.

-A gdzie by. Takie maleństwo a obiecujesz pomoc takiemu dryblasowi. Obejdzie się. Powiedz raczej co mam robić.

-Zerwij dzwonek leśny i liś babki. Usiód na listku, ty mnie połóż na dłoni i nie. Dzwonkiem za podzwaniaj co chwilę. Po tych poleceniach zamilkł cieniutki głosik.

-Pewnie bardzo się zmęczyła tym ludzkim gadaniem, pomyślał Wojtek. Zrobił to, co mu poleciła. Zerwał liś babki i dzwonek leśny, dziwił się, że trafił się taki wielki i piękny. Położył liś na dłoni a dłoń na trawie. Pszczołka wnet się wgramoliła na liś a on zrobił z dłoni łódkę i ruszył przed siebie. Co jakiś czas potrzaskał dzwoneczkiem a on dźwięczał tak cicho, że Wojtek go nie słyszał. Robił jednak to o co pszczołka prosiła. Dziwiło go tylko, że ilekroć potrzaskał kwiatem to gdzieś w pobliżu odzywał się cichutki dźwięk podobny do trelu słowika wskazując mu kierunek. Natężył więc słuch pilnie. Pszczoła siedziała cicho na jego dłoni do chwili, kiedy po potrzaskaniu dzwonkiem odezwał się nie trel ptasi a donośne brzęczenie. Przestraszył się. Pokłój go, powiedz jak jutro pójdzie do wsi? Odruchowo zamknął dłoń z pszczołą. Może to nie jej rodzina? Może to nawet nie pszczoły? Kto to wie? Niczego nie widział, za to brzęczenie a w uszach dudni! Potrzaskał znowu dzwonkiem i ze zdumieniem stwierdził, że brzęczenie cichnie. Pszczoła w jego ręku poruszyła się niecierpliwie. Otworzył więc dłoń i czekał. Nie odlatywała.

- Idź dalej, usłyszał. - Idź do nich.

Szedł więc ostro nie przez gęste zarośla w stronę, skąd dochodziło brzęczenie. Dobrze chwilę przedzierał się przez gęszczając, by nie zgubił pszczoły ani dzwonka. Po chwili głośnie buczenie odezwało się znowu, lecz teraz brzmiało inaczej. - Niczym organy w kościele, pomyślał. Już się nie obawiał deł. Słuchał i szedł w stronę tego grania a zobaczył chmurę żółtą, która falowała w słońcu. To od niej szła ta dziwna muzyka. Ciekawość i zachwyt tak mieszały mu myśli, że przyklęknął na trawie i słuchał. Żółta chmura oderwała się od pnia i teraz grając głośno otoczyła chłopca wykonując jakiś szalony taniec. Wojtek odruchowo schował głowę w ramiona, zamknął oczy i uniósł dłoń z dzwonkiem w obronny gest. Drugi, ten z pszczołą trzymał nadal przed sobą. Chwilę dobrze trwał w tym owadzie graniu nie wiedząc czy to sen czy jawa. Nagle wszystko ucichło. Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Wielki rój pszczoł obsiadł pobliskie pieńki i tylko nikłe drganie wskazywało, że jest tam życie. Pszczoły na jego dłoni nie było. Tylko zwiędły liś babki pozostał i dzwonek był kitny. Opuścił ręce i patrzył jak małe owady, pomagając sobie skrzydełkami sadzają się coraz wyżej na pniu w ciszy i skupieniu jakim. - Niczym ludzie w kościele, pomyślał. Wpatrzony w to dziwne zjawisko dostrzegł w samym rodku „swoją” pszczołkę. Była wijsza i - jak mu się wydało - bardziej żółta. - A więc trafili my - szepnął u siebie szeroko. - To od tej korony tak błyszczą - pomyślał i zaraz druga myśl przyszła - że niechybnie jest „durnowaty”, bo jaka korona mogła by na pszczelim łebku?

Wstał i rozejrzał się za siebie. - Trzeba wracać. Dziadek będzie niespokojny.

Zaledwie jednak odszedł kilka kroków nad jego głowę znów rozległo się buczenie. Kilka pszczoł szybkim, kolistym ruchem migają mu przed oczyma.

-I czego wy małe jeszcze chcecie? Wracajcie, bo znowu się którejś przygoda zła zdarzy.

Ale pszczoły nie słuchały. Uparcie krężyły mu tu przed oczyma.

-Chcecie bym zawrócił? Stało się znowu coś? Nie mogę kochane. Dziadek sam w chałupie. Pewnie się martwi, że tak długo nie wracam. I głodny pewnie.

O, laboga! To poziomki na łacie zostały! Co ja dam dziadkowi? Umorzy się!

Ciche brzęczenie nie ustawało. Pszczoły za nic miały jego protesty. Odlatywały na parę łokci w las i uparcie powracały kręcąc nad jego głowę. - Choćby te poziomki zabiorę, pomyślał. Ruszył jak mógł najszybciej popędzany obawą o dziadka. Wkrótce dotarł do łęki i odnalazł rowek z łopianem w który nazbierał poziomki. Pszczoły nie ustawały. Przyleciały wraz z nim i krężyły wciśnięte i wciśnięte kusząc go w powrotną drogę. Zmęczył się już zabawą. - Daleko mnie nie poprowadz, pomyślał i ruszył za nimi. Teraz rozpoznawał już miejsca, które widział niedawno. - Kraina pszczołek, rzekł do siebie. Po chwili był już w takiej gęstwinie, że z trudem stawiał stopy pomiędzy zbutwiałymi pniami, suchymi gałęziami zarosłymi krzakami i zielskim wszelakim. Wczelej, przeżył trochę przestraszony, niewiele widział. - Co za gęstwa, pomyślał. Potknął się o zbutwiałe pieńki i przysiadł. Umilkł szelest jego kroków i wtedy usłyszał znowu równe, donośne brzęczenie. - Pszczoły znów grają, szepnął do siebie. - I jak pięknie basują. Podniósł głowę i rozejrzał się. Ogromne wierki, sosny i buki prześwietlały słone. Na jednym ze strzelistych pni w słonecznym promieniu rozbłyskiwało coś żółtawego. Podeszedł bliżej i zobaczył ze zdziwieniem, że po chropowatej korze

naprawd s pływa złoty, skrz cy potok rozlewaj c si tu i tam na drobniejsze strumyczki.

-Miód! Le ny miód!- zawołał. Sece podskoczyło mu z rado ci.

-Zanios dziadkowi ,oznajmił gło no. -Hej! Pszczółki! U yczycie mi swego miodu dla dziadka? Podniósł gów i rozejrzał si za nimi. Siedziały rz dkiem na wysokiej gał zi i przypatrywały mu si ciekawie. - Pozwalacie, prawda? Odpowiedział mu cichy brz k. - Ale w co ja wezm tego skarbu?, zawołał zmartwiony t nagł przeszkod . Tu pod nogami dostrzegł du y płat brzozonej kory. Zwin ł j w spory ro ek, utkał mchem, zwi zał witk brzozone i oto miał ju naczynie. Kiedy złota struga napełniła je, skłonił si pszczółkom i pognął co sił do chaty.

Dziadek siedział na progu ze zwieszon gów , za słaby, by i szuka wnuka a serce wypełniał mu l k o niego. Jak e si ucieszył widz c go całym i zdrowym. Siwe oczy rozbłyły a serdeczny u miech jeszcze bardziej pobru dził twarz. Wojtek czym pr dzej wysypał poziomki do miski i nalał w nie miodu. Jedli pospołu te wspaniało ci ałuj c, e nie ma do nich cho glonka chleba.

-B dzie i chleb dziadku, b dzie! Zapewniał Wojtek maj c jeszcze przed oczyma pszczele królestwo.

Nast pnego ranka pszczółki przyszły po Wojtka pod sam chat . Wzi ł z sob gliniak niewielki i poszedł miało za nimi. Tym razem wystarczyło miodu i dla nich i na sprzeda w miasteczku. Tego wieczoru jedli ju chleb z miodem. I tak było ka dego dnia. Wydobrzył dziadek, siły odzyskał i krz tał si wesóło w chacie, w której nie bywało ju głodno.

Lato chyliło si ju powoli ku jesieni gdy pszczółki wskazały Wojtkowi bar wysoko na so nie. Wydało mu si przez chwil , e w ród przewodniczek dostrzega „swoj ” pszczółk . -Mo e to ona a mo e nie, dumał. Patrzył w gór i dumał jak tak wysoko wle . Przecie nie mo e spa ani krzywdy nijakiej sobie zrobi , bo to obiecał dziadkowi. Stawiał stopy ostro nie na gał zkach i s kach i a si zdumiał, e tak zgrabnie mu szło. Pocz ł wybiera miód do uwi zanych u pasa gliniaków, kiedy nagle z gł bi barci co tak za wieciło mu w oczy, e a je zmru ył. Pod ostatnim plastrem skrzyło si co wielkim blaskiem. - Ej, miód si wylał i wieci w słonecznym promyku, zamruczał Wojtek. Ciekawo jednak kazała mu si gn do owego blasku.

-To nie miód, szepn ł, dotykaj c czego twardego i chłodnego. Wydobył na wiatło kamie -nie kamie , bryłk tak cudn , e o lepiony tysi cem promyków, co biły od niego o mało nie pu cił gał zi na której wisiał. Zszedł powoli, odwi zał gliniaczki od pasa i ustawił w trawie. Dopiero teraz usiadł pod drzewem, wyj ł znalezisko z za pazuchy i wpatrywał si w nie oszołomiony jego urod . Tymczasem do miodu dobierały si le ne mrówki i muchy. Wojtek nie widział nic, tylko kamie . Siedziałyby pewnie tak długo, gdyby nie gro ne brz czenie nad gów .

-Tak pszczółki. Macie racj . Gapa ze mnie. Marnuj wasz prac . Wybaczcie. Ju i ja si bior do roboty. Wrzucił kamie za pazuch , pozbierał gliniaki i ruszył do chaty. O kamieniu zmilczał nawet przed dziadkiem. W nocy spa mu nie dawała my l o nim. Co to jest? Kto mu powie, co to za pi kny kamie ? Do tego znaleziony nie na cie ce, nie nad strumieniem ale w barci le nej. Kogo pyta , by biedy sobie nie napyta . Tylko jedno przychodziło mu do głowy. Klasztor. witem poszedł do miasteczka ale zamiast jak zwykle na rynek, udał si do braciszków. Zdziwili si braciszkwie, bo dawno ich nie odwiedzał, ale przyj li go serdecznie, jak zawsze. Zdziwili si jeszcze bardziej, kiedy poprosił, by go zaprowadzili do przeora-ojca Laurenta. Ojciec Laurent, który zawsze zwracał si do niego-synu, przywitał go yczliwie ale czeka kazał, bo pisał co pilnie. Cekał wi c Wojtek i coraz bardziej w tpił w to, e jego pragnienie si spełni. Umy lił sobie w nocy, e ten pi kny kamie odda Naj wi tszej Paniencie, której obraz cudny wisi w kaplicy. Widział wota wszelakie pod jej wizerunkiem i zapagn ł odda jej to, co miał najpi kniejszego. Teraz, czekaj c pomy lał, e mo e kamie nie wart takiej łaski

Gdybym miał mam pewnie by mi powiedziała, czy tej Matce -Najwspanialszej godzi si da taki ot sobie kamie . Tyle, e zacnej urody. Dumaj c tak doczekał ojca Laurenta . Wyj ł zawini tko z za pazuchy , odwin ł kamie z li cia łopianu i zmartwił si . Kamie wydał mu si tutaj jakby mniej pi kny. Ojciec Laurent przygl dał mu si w milczeniu. Wojtek wyci gn ł ku niemu dło ze swoim skarbem i rzekł nie miało.

Chciałbym, ja... chciałem to... ten kamyk ofiarowa Mateczce... co w kaplicy ale nie wiem... czy godzi si ?

Przeor si gn ł po kamie i dobr chwil ogl dał go pod wiatło, patrz c jak łamie je w tysi ce kolorowych promyków. Wojtek bladł i czerwieniał na przemian czekaj c na jakie jego słowo. Długo to trwało, w ko cu przeor zapytał: - sk d to masz, synu? Głos mu dr ał odrobin . Wydał si Wojtkowi jaki zaniepokojony. Chc c go czym pr dzej uspokoi chłopiec pokrótce opowiedział mu wszystko, co mu si przydarzyło: o pszczółce i o innych jej siostrach i o tym, jak u yczyły mu miodu tak, e w chacie lepiej si dzia pocz ło i o tej ostatniej barci, na wysokim drzewie. Przeor wysłuchał uwa nie i ju spokojny ale jakich uroczysty i powa ny rzekł:- Nie znam si dobrze na tym ale wydaje mi si chłopcze, e został obdarowany skarbem. Ten kamie jak go nazywasz, to mo e by diament. Bardzo pi kny i bardzo drogi. Nie mog ci jednak darmo łudzi . Trzeba, by kto znaj cy si , zaufany i nie papla ocenił czy tak jest w istocie. Gdyby sam poszedł z tym kamieniem do kogo, niechybnie okradziono by ci , oszukano, a co gorsze jeszcze, oskar ono o kradzie i uwi ziono. Je li mi ufasz zdaj si na mnie. Za trzy dni b dziemy wiedzie , co to za kamyk. No co, zgoda?

Wojtek słuchał słów przeora jak ba ni. Mo e tak sobie z niego artuje? Ale nie, przecie nigdy nie wy miano go tutaj. Był tak zdumiony, e nie pytał ju o nic. Kiwn ł gów i po egnął si po piesznie. Braciszkwie usta pootwierali ze zdumienia, patrz c jak biegnie nie widz c i nie słysz c nic.

Trzy dni zbiegły Wojtkowi na codziennych zajęciach i na marzeniach. Jakby to było cudnie gdyby tak poprawi chat, ziemi skrawek mię, chleba dostatek i piec ciepły zim i łachy jakie przystojniejsze... Karciał sam siebie za te myśli.

- To to pewnie zwykły kamyk. Po co się mami lepszą chatę czy odzieniem nowym. Potem biegł jak zawsze do lasu, do pszczół i barci. Tak mu zeszło do dnia, kiedy miał znów pójść do klasztoru.

- Braciszkuwie już nie dziwi cię się niczemu zaprowadzili go prosto do przeora. Stał przed nim Wojtek i pokornie pozdrowił. Ojciec Laurent posadził go przed sobą, za ramiona wziął i w oczy mu patrząc rzekł: - No jak Wojtku? Trwasz przy tym, by ten kamyk ofiarować naszej Matce Najświętszej? - Trwam, szepnął Wojtek. - To powiem ci chłopcze, że i cały piękny kościół może Jej wybudować! Ale najpierw wybuduj chatę sobie i dziadkowi. Ona, Matka teby tak wolała. Umilkł przeor a Wojtek nie miał o nic pytać. Po chwili dopiero, kiedy zrozumiał słowa, które usłyszał wstał raptownie i do nóg się rzucił przeorowi. - Jak to? Co to za kamyk, że i kościół... i chatę...? Mówcie dla Boga, bo mi się w głowie miesza.

Ojciec Laurent podniósł chłopca i wszystko mu szczegółowo opowiedział. Powiózł on kamień do dużej miasta, do skarbcza, którym opiekował się jego przyjaciel, braciszek zakonny jak i on ale kształcony tak, by strzec, zdobić i naprawiać złote kielichy, monstrancje i wszelkie precjozactwa służące Bogu na chwałę. Ten też braciszek szybko rozpoznał w kamieniu diament ale dla wiary kszep pewno ci zaniósł go jeszcze do miejskiego jubilera. Nie było w tym nic dziwnego. Wszyscy wiedzieli, że jest to braciszek od skarbów. Jubiler potwierdził, że rzeczywiście jest to wielki, piękny diament i określił bardzo wysoko jego wartość. Pałał też chęć ci wielką, by kupić go od braciszka ale ten kazał mu czekać na właściciela owego skarbu.

- A właściciel to ty Wojtku, zakończył opowieść przeor.

Jeszcze tej jesieni pod lasem za wsię stanęła nowa, jasna chata z wielkim kominem i dachem spadzistym. Wiąksza i ładniejsza od chat najbogatszych gospodarzy we wsi. Za chatą, stanęła stodołka i obora dla krowy, która muczała wesoło na widok dziadka.

W miasteczku zaczęło ono drewno i kamień na kościół. Składano wszystko na wielkim placu pod dachem, by z wiosną zaraz ruszyć z budową. Wszystkiego pilnował młody jasnowłosy chłopak na zmianę z klasztornymi braciszkami. Chłopaka rozpoznawano jako „dziadoka” spod lasu ale nikt go już tak nie nazywał. Gadano za to o cudach i czarach. Wojtek nie przeczył. Tylko latem następnego roku, kiedy niewielki ale piękny kościółek był gotów, poprosił przeora, by patronowała mu Matka Boża, opiekunka pszczół i pszczelarzy. Tak bardzo był wdzięczny tym małym owadom, że je tak też chciał uczcić. Zafrasował się przeor, bo o takim imieniu Matki Bożej nie słyszał ale pomyślał, że przecie ta Matka opiekuje się każdą Bożym stworzeniem i nie ma w tym nic zdrożnego.

Wkrótce na jednej ze ścian kościoła zawisł wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem na rękach i pszczoła na palcu wyciągniętej ku ludziom dłoni. Tuli Syna i na pszczołkę spogląda z miłością, bo wszystko, co stworzone przez Boga godne jest miłości. Wierni do dziś tłumnie nawiedzają w tym Matki Bożej „od pszczołek”, by za Jej wstawiennictwem dziękować Bogu za piękno i dobra jakimi darzy wiat.

Władysława Łabus.